Skradziona duma polskiego rynku pracy: między mitem przedsiębiorczości a ekonomią wstydu

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł analizuje problem pozornej przedsiębiorczości na polskim rynku pracy, gdzie samozatrudnienie często nie jest wyborem wolnego rzemieślnika, lecz formą ukrytego podporządkowania. Autor wskazuje na mechanizm „skradzionej dumy", w którym etos niezależnego przedsiębiorcy maskuje brak ochrony kodeksowej, urlopów i bezpieczeństwa socjalnego. W rzeczywistości wiele osób na kontraktach B2B funkcjonuje jak pracownicy etatowi, lecz bez przysługujących im praw, ponosząc pełne ryzyko operacyjne i finansowe. Tekst podkreśla kontrast między prawdziwą działalnością gospodarczą a modelem „business to bezbronny", w którym jednostka staje się instytucjonalnie samotna, a jej zależność ekonomiczna jest ukryta za formalną fakturą, co prowadzi do erozji godności pracy.

The article analyzes the problem of apparent entrepreneurship in the Polish labor market, where self-employment is often not the choice of a free artisan, but a form of hidden subordination. The author points to the mechanism of 'stolen pride,' in which the ethos of the independent entrepreneur masks the lack of statutory protection, leave, and social security. In reality, many people on B2B contracts function as salaried employees but without the rights entitled to them, bearing full operational and financial risk. The text emphasizes the contrast between genuine business activity and the 'business to defenseless' model, in which the individual becomes institutionally lonely and their economic dependence is hidden behind a formal invoice, leading to the erosion of the dignity of work.

Tekst stanowi krytyczną analizę współczesnego systemu gospodarczego i politycznego, który pod maską „przedsiębiorczości" i „elastyczności" systemowo odziera jednostki z

ochrony socjalnej i godności. Autor stawia tezę, że mechanizmy takie jak fałszywe samozatrudnienie (B2B) czy praca platformowa nie są innowacjami biznesowymi, lecz formą arbitrażu na ludzkim życiu, gdzie zyski są scentralizowane, a ryzyko całkowicie przerzucone na najsłabszych. Ta strukturalna samotność i instytucjonalne upokorzenie prowadzą do powstania „gospodarki wstydu", w której jednostka obwinia samą siebie za systemowe porażki. W konsekwencji, ten emocjonalny deficyt staje się paliwem dla populistycznej radykalizacji – procesie „Shame to Blame" (od wstydu do obwiniania) – gdzie zraniona duma zostaje przechwycona przez politykę odwetu i nienawiści wobec mniejszości. Rozwiązaniem ma być stworzenie „Emocjonalnego Nowego Ładu": systemu, który zastąpi technokratyczne transfery finansowe realną gospodarką uznania, przywróci prawo do słabości osobom zdegradowanym społecznie i zbuduje most empatii oparty na wzajemnej użyteczności zamiast na wykluczeniu.

SŁOWA KLUCZOWE

skradziona duma | fałszywe samozatrudnienie | praca platformowa | zależność ekonomiczna | model B2B | zarządzanie algorytmiczne | dyrektywa 2024/2831 | samotność instytucjonalna | arbitraż na godności | Emocjonalny Nowy Ład | podporządkowanie prawne | ryzyko przedsiębiorcze | wykluczenie społeczne | etyka pracy

Samozatrudnienie jako maska dla braku ochrony

Samozatrudnieni. Skradziona duma polskiego rynku pracy. Samozatrudniony w Polsce bywa przedstawiany jako przedsiębiorca, wolny człowiek rynku, mikrokapitalista z laptopem, fakturą i pieczątką godności. W tej opowieści ma być kimś pomiędzy rzemieślnikiem nowoczesności a żołnierzem elastycznej gospodarki.

Sam wybiera, sam ryzykuje, sam decyduje, sam wystawia fakturę, sam opłaca składki, sam organizuje czas i sam odpowiada za sukces lub klęskę. Brzmi dumnie. Tyle że w praktyce często jest to duma człowieka, któremu odebrano urlop, chorobowe i bezpieczeństwo – prawo do słabości – a zostawiono mu jedynie wolność ponoszenia cudzych kosztów. To polska wersja Hochschildowskiej „skradzionej dumy". W Appalachach duma górnika została zdewaluowana przez upadek przemysłu, a wstyd po utracie pracy przejęła polityka obwiniania. W Polsce duma samozatrudnionego często

budowana jest na micie samodzielności, podczas gdy faktyczny model pracy sprowadza się do przerzucenia ryzyka z organizacji na jednostkę.

Człowiek ma być przedsiębiorcą wtedy, gdy trzeba zapłacić składki, kupić sprzęt, naprawić samochód, opłacić księgowość, chorować na własny rachunek i przeżyć bez płatnego urlopu. Ma być jednak całkowicie podporządkowany wtedy, gdy algorytm, kontrahent, platforma, partner flotowy, lokalny monopol zleceń albo silniejszy klient decyduje o jego zarobkach, czasie pracy, standardzie usługi czy samym dostępie do zajęcia. To nie jest wolność przedsiębiorczości. To często kodeks pracy po amputacji ochrony.

Skala zjawiska jest ogromna. Według GUS w pierwszym kwartale 2025 roku w Polsce było 2 815 480 aktywnych przedsiębiorstw, a w 2024 roku działalność gospodarczą prowadziło 2 367,6 tysiąca mikroprzedsiębiorstw (do 9 pracowników); wśród nich dominowały podmioty jednoosobowe, stanowiące 77,5 procent tej grupy. Nie każda taka firma jest przejawem fałszywego samozatrudnienia, ale ta struktura pokazuje, jak bardzo polska gospodarka opiera się na pojedynczych ludziach formalnie występujących jako firmy.

Samozatrudnienie ma oczywiście swoją prawdziwą, godną i twórczą postać. Są w Polsce fachowcy, doradcy, informatycy, rzemieślnicy, lekarze, prawnicy, architekci, graficy, konsultanci, specjaliści, tłumacze czy osoby usługowe, które rzeczywiście prowadzą działalność: negocjują stawki, mają wielu klientów, budują markę i decydują o swoim czasie pracy. Tego nie wolno wrzucać do jednego worka z przymusową działalnością gospodarczą.

Problem zaczyna się tam, gdzie samozatrudnienie nie jest przedsiębiorczością, lecz prawną maską podporządkowania. Tam, gdzie człowiek ma jednego dominującego kontrahenta, nie negocjuje, lecz akceptuje regulamin i nie sprzedaje usługi na rynku, lecz wykonuje pracę w cudzym modelu biznesowym. Tam, gdzie "B2B" oznacza: business to bezbronny.

Polskie samozatrudnienie stało się jednym z najważniejszych frontów współczesnej walki o godność pracy. Kodeks pracy opiera się na założeniu, że pracownik jest słabszą stroną stosunku pracy i potrzebuje ochrony: norm czasu pracy, urlopu, zasiłku chorobowego, zasad wypowiedzenia, BHP czy uprawnień rodzicielskich. Samozatrudniony formalnie jest przedsiębiorcą, a ten – jak głosi neoliberalna katecheza – powinien być dzielny. Tyle że gdy mianem przedsiębiorcy określa się człowieka, który realnie nie kontroluje ceny, popytu, organizacji pracy ani warunków świadczenia usługi, to „dzielność” staje się jedynie eleganckim słowem na samotne ponoszenie ryzyka. Tutaj pojawia się polski paradoks dumy.

Pułapka pozornej przedsiębiorczości i rozproszenie odpowiedzialności

Człowiek zakłada działalność, bo chce po prostu pracować: utrzymać rodzinę, wyjść z długów, uniknąć bezrobocia czy mieć zajęcie mimo egzekucji komorniczej. Robi to, by wejść na rynek jako cudzoziemiec, ominąć lokalny brak etatów lub odpowiedzieć na model biznesowy, który nie toleruje kosztów pracy kodeksowej. Towarzyszy mu poczucie: nie proszę o jałmużnę, pracuję. To duma z pracy. Ale równocześnie system mówi mu: jeśli zachorujesz – twój problem; jeśli chcesz odpocząć – twój koszt; jeśli stawki spadną – twoje ryzyko; jeśli samochód się zepsuje – twoja strata; jeśli algorytm cię wyłączy – dochodź swego sam; jeśli nie uzbierasz na emeryturę – sam byłeś przedsiębiorcą.

Zderzenie etosu pracy z konstrukcją instytucjonalnej samotności tworzy dokładnie tę samą ranę, którą Hochschild opisuje jako paradoks dumy: człowiek ma obowiązek być odpowiedzialny za swój los w systemie, który przerzucił na niego odpowiedzialność bez realnej sprawczości. Najokrutniejsze jest to, że samozatrudniony zwykle nie ma nawet społecznego prawa do skargi. Pracownik etatowy może powiedzieć: pracodawca mnie przeciąża. Bezrobotny: nie mam pracy. Samozatrudniony słyszy: przecież sam chciałeś być przedsiębiorcą.

To zdanie działa jak knebel. Skoro sam chciałeś, to nie narzekaj. Skoro wystawiasz fakturę, jesteś firmą. Skoro jesteś firmą, ryzyko jest twoje. A skoro ryzyko jest twoje, zmęczenie nie jest problemem społecznym, lecz niedostateczną efektywnością mikroprzedsiębiorcy. I tak człowiek z krwi, potu i łez zostaje zamieniony w NIP z obowiązkiem optymizmu.

W Polsce ten mechanizm widać szczególnie brutalnie w pracy platformowej. Kierowca lub kurier aplikacji funkcjonuje często w trójkącie: platforma, partner flotowy i osoba wykonująca pracę. Platforma kontroluje dostęp do zleceń, reputację, algorytm, regulamin i ekonomię widzialności. Partner flotowy bywa formalnym pośrednikiem, który umożliwia rozliczenie pracy, wynajem pojazdu czy obsługę dokumentów. Osoba wykonująca pracę ponosi natomiast wszystkie koszty: czas, paliwo, sprzęt, naprawy, oczekiwanie, ryzyko drogowe, mandaty, chorobę i brak zleceń.

Raport Fairwork Polska za 2024 rok, badający platformy Bolt, Freenow, Glovo, Pyszne.pl/Just Eat Takeaway, Uber i Uber Eats pod kątem wynagrodzeń, warunków pracy i zarządzania, pokazuje, że nie mówimy o anegdocie, lecz o istotnym segmencie gospodarki. Model partnerów flotowych zasługuje na osobną uwagę jako instytucjonalny wynalazek rozproszenia odpowiedzialności. Korporacja technologiczna twierdzi, że tylko łączy popyt z podażą. Partner flotowy mówi, że tylko obsługuje kierowców. Kierowca lub kurier formalnie jest samozatrudniony albo działa przez umowy

pośrednie. Gdy jednak pojawia się pytanie o stabilność dochodu, urlop, chorobę, czas pracy czy transparentność algorytmu, odpowiedzialność rozprasza się jak mgła nad autostradą. Każdy jest trochę organizatorem, ale nikt nie jest pełnym pracodawcą. Każdy czerpie wartość, lecz to pracujący niesie ryzyko.

Przypomina to dawną pracę nakładczą, tyle że w cyfrowym kostiumie. Dawniej domowy wykonawca dostawał materiał, normę i stawkę, a formalna odległość od zakładu pozwalała obniżać koszty i przesuwać odpowiedzialność. Dziś materiałem jest czas, samochód, telefon, konto w aplikacji oraz ciało i dyspozycyjność. Dawniej pośrednik rozprowadzał pracę; dziś robi to platforma i algorytm. Dawniej praca nakładcza chowała zależność pod pozorem domowej samodzielności; dziś platforma chowa ją pod pozorem cyfrowej elastyczności. Slogan się zmienił, mechanika pozostała ta sama: nie zatrudniamy cię, ale organizujemy warunki, w których musisz pracować tak, jak potrzebuje nasz model.

Unia Europejska dostrzegła ten problem w dyrektywie 2024/2831 dotyczącej pracy platformowej. Jej celem jest zwalczanie fałszywego samozatrudnienia, ułatwienie ustalania prawidłowego statusu zatrudnienia oraz wprowadzenie zasad zarządzania algorytmicznego. Państwa członkowskie mają obowiązek wdrożyć ją do prawa krajowego, a analizy wskazują, że platformy będą musiały weryfikować klasyfikację osób wykonujących pracę i liczyć się z domniemaniem zatrudnienia. To ważny krok, ale nie wolno mylić dyrektywy z cudem. Prawo unijne może zmienić ciężar dowodu czy wymusić transparentność, ale nie usunie samego apetytu biznesu na model, w którym zysk jest scentralizowany, a ryzyko rozproszone.

Platformowy kapitalizm lubi mówić o innowacji, lecz jego najstarszą innowacją jest przerzucenie kosztów na tych, którzy mają najmniej siły negocjacyjnej. Dla dekoracji dodaje ikonę błyskawicy i komunikat: jesteś swoim szefem. Piękna rzecz, tylko szef zwykle może podnieść sobie stawkę. Kurier może co najwyżej szybciej pedałować.

Samozatrudniony w Polsce jest też szczególnym przypadkiem obywatela ubezpieczeniowego. ZUS wskazuje, że osoby prowadzące działalność gospodarczą są objęte obowiązkowymi ubezpieczeniami emerytalnym i rentowym, natomiast ubezpieczenie chorobowe pozostaje dla nich dobrowolne, co potwierdzają stawki składek ogłoszone na 2025 rok.

Iluzja przedsiębiorczości jako mechanizm przenoszenia ryzyka i wstydu

Dobrowolność chorobowego brzmi liberalnie, dopóki nie zapytamy, kto naprawdę może sobie pozwolić na chorowanie. Samozatrudniony nie ma klasycznego płatnego urlopu ani wynagrodzenia za czas choroby od pracodawcy. Jeśli nie pracuje, często nie wystawia faktury, a bez niej nie ma przychodu. Tymczasem składki, raty, leasing, paliwo, czynsz, księgowość, alimenty czy zajęcia komornicze nie zatrzymują się z szacunku dla zapalenia płuc. Państwo patrzy na niego jak na przedsiębiorcę, ale rynek traktuje go jak pracownika pozbawionego ochrony. To klasa ludzi uwięzionych między paragrafami: zbyt silni na pomoc, zbyt słabi na prawdziwą autonomię. Właśnie dlatego samozatrudnienie bywa fabryką cichego wstydu.

Człowiek pracuje po dwanaście godzin, choruje na stojąco i nie ma wakacji. Bierze zlecenia w niedzielę, wozi ludzi nocą, dowozi jedzenie w deszczu; wykonuje usługi dla jednego dominującego klienta, znosi opóźnienia w płatnościach i arbitralność aplikacji, bo musi utrzymać dom. A mimo to słyszy: jesteś przedsiębiorcą. Jeśli nie dajesz rady – źle zarządzasz. Jeśli nie masz oszczędności – nie planowałeś. Jeśli nie masz urlopu – sam wybrałeś. Jeśli nie masz emerytury – trzeba było odkładać.

To jest "Shame to Blame" w wersji neoliberalnej, zanim jeszcze znajdzie politycznego wroga. Najpierw człowiek obwinia samego siebie. Potem może obwiniać państwo, migrantów, korporacje, urzędników, etatowców czy Unię – ból szuka adresu. Najbardziej dramatyczna jest sytuacja wyrzutków systemu formalnego: cudzoziemców, osób z zajęciami komorniczymi, ludzi po upadłościach, rozwodach czy chorobach, tych bez rodzinnego zaplecza i zdolności kredytowej. Dla nich samozatrudnienie lub platforma nie jest wyborem stylu życia, lecz ostatnim wejściem bocznym do rynku. Gdy etat staje się luksusem dla "swoich", a komornik czyni oficjalne zatrudnienie miejscem natychmiastowych potrąceń, człowiek wybiera formę pracy, która pozwala przetrwać dziś, nawet jeśli niszczy jutro. To duma ocalałego, nie przedsiębiorcy.

W tej perspektywie polski samozatrudniony przypomina bohaterów Hochschild: pracuje z dumy, by nie spaść niżej. Nie chce być ciężarem ani słyszeć, że jest nieudacznikiem. Bierze na siebie ryzyko, bo alternatywą jest bezczynność, utrata mieszkania albo społeczna niewidzialność. Państwo jednak rzadko odpowiada mu uznaniem – częściej formularzem, terminem, składką i domniemaniem przedsiębiorczej sprawczości. Biznes odpowiada regulaminem, platforma algorytmem, bank ratą, a klient oceną. Ciało natomiast odpowiada zmęczeniem.

"Niewolnik finansowy systemu" to mocne określenie, lecz trafnie opisuje strukturę zależności, w której człowiek formalnie wolny nie może przestać pracować. Nowoczesna niewola rzadko przypomina kajdany; częściej wygląda jak leasing, rata, prowizja platformy, ranking czy dług alimentacyjny. Formalnie możesz odmówić zlecenia lub wziąć urlop, ale materialnie i ekonomicznie nie możesz. Formalnie jesteś firmą, realnie – człowiekiem przywiązanym do codziennego przychodu jak do aparatu tlenowego. Państwo odziera takich ludzi z godności, udając, że wpis w CEIDG rozstrzyga rzeczywistość społeczną: skoro przedsiębiorca, to ryzyko; a skoro ryzyko, to sam sobie winien.

Ten formalizm jest wygodny, ale fałszywy. Prawo powinno pytać o rzeczywistą zależność ekonomiczną, asymetrię negocjacyjną i brak możliwości kształtowania ceny. Bez tego prawo staje się kostiumografem wyzysku: zakłada pracownikowi marynarkę przedsiębiorcy i każe mu klaskać, że awansował. Biznes karmi się potem i łzami samozatrudnionych, gdy oszczędność na funduszu płac i chorobowym staje się główną przewagą konkurencyjną. Oczywiście nie każdy kontrahent B2B jest cyniczny – rynek jest zróżnicowany i wielu ceni realną niezależność. Jednak systemowo trzeba powiedzieć jasno: jeśli model biznesowy działa tylko dlatego, że ludzie formalnie zewnętrzni pracują jak wewnętrzni, ale bez ich praw, to nie jest innowacja. To arbitraż na godności.

Najmocniej widać to w platformach, ale problem dotyczy niemal każdej branży: od IT i mediów, przez transport i budownictwo, aż po opiekę i sektor kreatywny. Często słyszymy, że rynek wymaga elastyczności. To półprawda. Rynek wymaga przewidywalności kosztów dla silniejszych i elastyczności życia dla słabszych. Pracownik etatowy jest "sztywny", bo jego czas ma cenę. Samozatrudniony jest "elastyczny", bo jego granice można negocjować codziennie w dół. Elastyczność jest wartością, gdy jest dwustronna. Gdy zgina się tylko jedna strona, nie nazywamy tego elastycznością, lecz przeciążeniem materiału.

Samotność instytucjonalna jako źródło wstydu i wykluczenia

Samozatrudnieni są pozbawieni klasycznego języka zbiorowego. Pracownicy mają związki zawodowe, choć w Polsce ich siła bywa ograniczona. Przedsiębiorcy z kolei dysponują organizacjami biznesowymi, jednak mikroprzedsiębiorca zależny ekonomicznie rzadko czuje, że izby czy federacje mówią jego językiem. Jest zbyt mały dla wielkiego biznesu i zbyt „przedsiębiorczy” dla świata pracy. To samotność instytucjonalna.

A samotność instytucjonalna jest jednym z głównych źródeł wstydu. Człowiek pozbawiony reprezentacji zaczyna wierzyć, że jego problem jest prywatną klęską, a nie publiczną strukturą. Ogólnopolski Związek Zawodowy Samozatrudnionych WBREW samotnie walczy z systemem, mediami i partiami politycznymi. Dlatego jednym z najważniejszych zadań w Polsce jest budowa reprezentacji samozatrudnionych zależnych ekonomicznie. Nie chodzi o niszczenie prawdziwej działalności gospodarczej, lecz o rozróżnienie przedsiębiorcy realnego od pracownika wypchniętego na fakturę.

Chodzi o prawo do zrzeszania się i negocjowania minimalnych standardów; o ochronę przed arbitralnym odcięciem od zleceń, przejrzystość algorytmów oraz ubezpieczenie od choroby i wypadku. Chodzi o przerwy, urlopy, składki adekwatne do dochodu, ochronę rodzicielstwa i realną emeryturę. Chodzi o uznanie, że wolność gospodarcza bez podłogi socjalnej bywa wolnością spadania. Polityka publiczna powinna tu zastosować zasadę Hochschild: najpierw zobaczyć twarz ludzkiego nadkładu.

Twarzą tą jest kurier stojący w deszczu pod restauracją i odświeżający aplikację. Kierowca po czternastej godzinie pracy, który nadal „sam decyduje", choć dziwnym trafem nie może przestać. Programista na B2B, który zarabia dobrze, ale wie, że choroba to w jego przypadku luka w fakturowaniu. Opiekunka, która formalnie świadczy usługę, a realnie wykonuje pracę emocjonalną i fizyczną bez żadnego zabezpieczenia.

Twarzą tą jest cudzoziemiec jadący przez miasto na cudzym koncie, przez pośrednika, w języku, którego jeszcze nie opanował. Ojciec z zajęciem komorniczym, który pracuje przez działalność, bo każdy oficjalny etat natychmiast staje się miejscem egzekucji. Kobieta prowadząca jednoosobową firmę, która nie może pozwolić sobie na chorobę dziecka. I fachowiec, który ma narzędzia, ale od dziesięciu lat nie miał wakacji.

Konieczność ochrony zależnie samozatrudnionych przed fikcją przedsiębiorczości

To jest Polska "prode": ludzie użyteczni, lecz często niechronieni. W języku prawa należałoby rozważyć kategorię zależnego samozatrudnienia z realnymi, minimalnymi gwarancjami. Nie chodzi o to, by każdy B2B stał się etatem, ale by B2B nie był strefą wyjętą spod elementarnej sprawiedliwości pracy. Tam, gdzie występuje ekonomiczna zależność od jednego lub kilku silnych kontrahentów, kontrola sposobu wykonania zadań, brak realnej swobody w ustalaniu ceny oraz

brak możliwości budowania własnego rynku – tam powinny pojawić się ochronne mechanizmy pośrednie. Nie po to, by karać przedsiębiorczość, lecz by nie nagradzać fikcji.

W języku ekonomii trzeba przestać udawać, że niski koszt pracy na fakturze jest neutralną przewagą konkurencyjną. To często ukryta dotacja od ciała pracownika dla modelu biznesowego. Samozatrudniony dopłaca własnym zdrowiem, brakiem urlopu, ryzykiem emerytalnym, niewidzialną pracą administracyjną, sprzętem, paliwem, stresem i samotnością. Korporacja lub silny kontrahent kupuje efekt końcowy, nie ponosząc pełnego kosztu reprodukcji siły roboczej. To nie jest pełna cena usługi. To cena po rabacie z ludzkiej przyszłości.

W języku antropologii należy zauważyć, że samozatrudnieni żyją w kulturze dumy przetrwania. Nie chcą być postrzegani wyłącznie jako ofiary, gdyż ich etos pracy jest realny. Wielu z nich odczuwa autentyczną dumę: nie siedzę bezczynnie, nie proszę, walczę, utrzymuję rodzinę, ogarniam, dowożę, robię swoje. Ta duma jest cenna, ale gdy państwo i biznes wykorzystują ją do odmówienia ochrony, staje się ona pułapką. Człowiek, który chce być silny, zostaje zmuszony do bycia niezniszczalnym. A nikt nie jest niezniszczalny. Nawet JDG ma kręgosłup, choć system księgowy go nie widzi.

W języku politycznym trzeba odebrać temat samozatrudnionych zarówno neoliberalnej baśni o wolnych przedsiębiorcach, jak i populistycznej narracji o czystej zdradzie. To nie jest prosta historia, w której każdy samozatrudniony jest oszukany, a każdy pracodawca pasożytem. Jest to jednak opowieść o systemie, który zbyt często premiuje wypychanie pracy poza ochronę; o państwie, które chętnie pobiera składki i podatki, nie dając w zamian godnego bezpieczeństwa; o biznesie mówiącym o efektywności, gdy mowa o cudzym urlopie. O społeczeństwie korzystającym z szybkiej dostawy, taniego przejazdu czy elastycznej usługi, które nie pyta, kto zapłacił za tę wygodę swoim snem.

Najważniejszy postulat brzmi: samozatrudniony zależny musi odzyskać prawo do słabości. Prawo do choroby, odpoczynku i przewidywalności. Prawo do minimalnej stawki po odliczeniu realnych kosztów oraz do informacji, dlaczego algorytm go ukarał. Prawo do reprezentacji i emerytury, która nie będzie gorzkim żartem. Prawo do tego, by państwo nie mówiło mu: jesteś przedsiębiorcą, więc cierp elegancko.

Drugim postulatem jest przejrzystość kosztów pracy platformowej. Klient powinien wiedzieć, że tania dostawa nie jest magiczną funkcją aplikacji. Ktoś czekał, jechał, ryzykował, amortyzował sprzęt, płacił prowizję, rozliczał podatki i chorował bez dochodu. Platforma powinna ujawniać strukturę wynagrodzenia, potrąceń i zasad przydzielania zleceń. Partner flotowy musi działać według jasnych standardów odpowiedzialności. Nie może być tak, że cyfrowa gospodarka XXI

wieku funkcjonuje w relacjach pracy jak bazar odpowiedzialności z XIX wieku, tyle że z lepszym interfejsem.

Trzecim postulatem jest ograniczenie fałszywego samozatrudnienia poprzez realne testy podporządkowania i zależności. Jeśli ktoś wykonuje pracę osobiście, stale, dla jednego podmiotu, pod jego organizacyjną kontrolą, bez swobody cenowej i bez ryzyka typowego dla przedsiębiorcy – powinien otrzymać ochronę zbliżoną do pracowniczej. Jeśli platforma decyduje o stawce, widoczności, dostępie do zleceń, ocenach, sankcjach i dezaktywacji, nie może udawać, że jest jedynie tablicą ogłoszeń. Tablica ogłoszeń nie karze za odmowę kursu. Algorytmiczny przełożony nadal jest przełożonym, nawet jeśli nie nosi krawata.

Ochrona godności zamiast optymalizacji kosztów

Czwartym postulatem jest nowy solidaryzm składkowy. System ubezpieczeń społecznych musi chronić osoby o nieregularnych dochodach i prowadzące mikrodziałalności, zamiast karać je stałym kosztem, który nie uwzględnia sezonowości, chorób czy przestojów. Składki i świadczenia należy projektować tak, aby nie wypychały ludzi w szarą strefę i nie zmuszały do pracy ponad siły. Samozatrudniony ma płacić uczciwie, ale państwo powinno uczciwie uznać, że jego dochód nie zawsze jest pensją w przebraniu. Czasem jest ruletką przychodów z obowiązkiem comiesięcznej powagi.

Piątym postulatem jest zmiana kultury społecznej, która przestanie romantyzować harówkę. W państwie europejskim zdanie „nie byłem na urlopie od siedmiu lat” nie powinno być powodem do dumy – to powinien być alarm. Wyznanie „pracuję, nawet gdy jestem chory” nie jest dowodem charakteru, lecz objawem chorego systemu. Z kolei hasło „sam sobie jestem szefem” przestaje oznaczać wolność, gdy szef, pracownik, księgowy, windykator, dział zakupów, BHP i zarządzanie kryzysowe skupiają się w jednej zmęczonej osobie. Polska musi przestać mylić heroizm przetrwania z dobrym modelem gospodarczym.

Wszystko sprowadza się do godności. Samozatrudnieni nie potrzebują litości, lecz uznania i ochrony adekwatnej do realiów. To jedna z najważniejszych klas pracujących współczesnej Polski: rozproszeni, zmęczeni, formalnie niezależni, a faktycznie często zależni; dumni, a zarazem pozbawieni podstawowych zabezpieczeń. Są mrówkami-tragarzami gospodarki: niosą koszty, które inni księgują jako efektywność. Niosą ryzyko, które korporacje nazywają innowacją. Niosą niepewność, którą państwo określa mianem działalności gospodarczej. Niosą na własnym zdrowiu ciężar systemu, który chce udawać, że działa taniej. Ich duma nie może być dłużej kradziona pod szyldem przedsiębiorczości.

Jeśli ktoś jest naprawdę przedsiębiorcą, niech ma wolność i odpowiedzialność przedsiębiorcy. Jeśli ktoś jest pracownikiem w przebraniu, niech odzyska prawa pracownika. A jeśli ktoś znajduje się pomiędzy, państwo powinno wreszcie stworzyć dla niego ochronę pośrednią, zamiast udawać, że świat mieści się w dwóch szufladach: etat albo firma. Życie dawno wyszło z tych szuflad; prawo natomiast zostało w biurku.

Najkrótsza formuła tego eseju brzmi: samozatrudniony nie jest kosztem do optymalizacji, lecz człowiekiem do ochrony. Nie jest nadkładem polskiej elastyczności, firmą bez ciała czy aplikacyjnym trybikiem. Nie jest NIP-em z kręgosłupem do zdarcia. Jest pracującym obywatelem. Państwo, które pobiera od niego składki i podatki, wymaga deklaracji i terminowości, ma obowiązek oddać mu coś więcej niż pouczenie o przedsiębiorczości. Ma obowiązek oddać mu godność.

Przechodząc do fundamentów, Arlie Russell Hochschild proponuje analizę znacznie głębszą niż kolejna opowieść o populizmie czy „gniewnych wyborcach". Jej książka jest próbą uchwycenia niewidzialnej infrastruktury polityki: gospodarki dumy, ekonomii wstydu, antropologii upokorzenia i społecznego obiegu winy. To nie jest tylko historia Appalachów, Pikeville, upadku górnictwa czy kryzysu OxyContinu; to nie jest jedynie opis białych nacjonalistów i mieszkańców przyczep kempingowych, których elity nauczyły się opisywać z wyższością godną porcelanowej filiżanki trzymanej nad błotem.

To studium awarii nowoczesności. A dokładniej: analiza sytuacji, w której rynek odbiera człowiekowi użyteczność, kultura prawo do żalu, polityka reprezentację, a populista oddaje mu jedynie wroga. Punktem wyjścia jest paradoks dumy. W świecie opisanym przez Hochschild duma nie jest ozdobą psychologiczną, lecz walutą społeczną. Człowiek może żyć biednie i ciężko pracować, ale dopóki pozostaje „prode" – dopóki jest użyteczny i jego praca utrzymuje rodzinę oraz poczucie sensu – posiada coś więcej niż dochód: posiada moralny tytuł do szacunku. Właśnie dlatego utrata pracy w regionie górniczym nie jest zwykłym zdarzeniem ekonomicznym. Jest symbolicznym wywłaszczeniem. Górnik nie traci tylko pensji.

Mechanizm przejścia od wstydu do politycznego odwetu

Człowiek traci język, w którym mógłby powiedzieć samemu sobie: jestem potrzebny. W tym punkcie ekonomista, antropolog i prawnik muszą przestać udawać, że opisują trzy różne światy. Ekonomista widzi deindustrializację, spadek lokalnej bazy podatkowej, zapaść mobilności

społecznej i zamianę regionu pracy w region transferów. Antropolog dostrzega utratę rytuałów uznania, zmianę kodu męskości, rozpad mitologii samowystarczalności i wejście ludzi w rolę tych, którym "się nie udało". Prawnik widzi natomiast nierówny dostęp do realnej ochrony socjalnej, asymetrię między wolnością kapitału a zakorzenieniem ludzi oraz instytucjonalną bezradność państwa, które potrafi regulować, certyfikować i raportować, lecz często nie umie przyjść z godnością tam, gdzie człowiekowi zapadł się grunt pod stopami. Państwo potrafi policzyć bezrobocie, ale nie umie policzyć poniżenia. A poniżenie, jeśli nie zostanie nazwane, wraca jako polityka odwetu. Hochschild pokazuje, że mieszkańcy Appalachów są uwięzieni między rygorystycznym etosem osobistej odpowiedzialności a rzeczywistością, w której osobisty wysiłek przestaje wystarczać.

To właśnie paradoks dumy. Kultura mówi człowiekowi: jeśli przegrasz, winien jesteś ty. Gospodarka jednocześnie odpowiada: możesz pracować uczciwie, a mimo to twoja branża zniknie, kompetencje stracą wartość, miasto stanie się peryferią, dzieci wyjadą, a okolica zostanie opisana jako problem społeczny. W takim układzie człowiek nie tylko traci — zostaje zmuszony, by uznać tę stratę za osobistą hańbę. Tu rodzi się mechanizm "Shame to Blame", czyli przejście od wstydu do obwiniania. To jeden z najważniejszych współczesnych mechanizmów politycznych, choć pozbawiony elegancji pojęć używanych na konferencjach o demokracji liberalnej.

Wstyd jest emocją duszną, skierowaną do wewnątrz. Mówi: jestem wadliwy, gorszy, nie sprostałem. Obwinianie to emocja wentylacyjna. Mówi: to oni mi zabrali, upokorzyli mnie, wpychają się przede mnie, ukradli mój świat. Populista nie musi więc leczyć cierpienia; wystarczy, że nada mu kierunek. Wstyd bez adresu jest depresją. Wstyd z adresem staje się gniewem. Gniew z rytuałem staje się ruchem politycznym. Dlatego kategoria "skradzionej dumy" jest tak niebezpiecznie skuteczna. Sama strata może prowadzić do żalu, melancholii, organizowania pomocy czy żądań ekonomicznych i reform społecznych. Strata nazwana jednak kradzieżą tworzy zupełnie inną scenę moralną.

Jeśli coś mi się nie udało, mogę czuć smutek. Jeśli coś mi ukradziono, mam prawo do odwetu. Właśnie tu następuje przemiana cierpienia społecznego w paliwo radykalizacji. "Od straty do kradzieży, od wstydu do obwiniania" to nie tylko bon mot z notatki, lecz zwięzła formuła chemii politycznej naszych czasów. W takim laboratorium demokracja nie wybucha od razu. Najpierw zaczyna syczeć. Hochschildowska "głęboka opowieść" jest zatem nie tyle opisem faktów, co opisem emocjonalnego porządku tych faktów. Człowiek stoi w kolejce do Amerykańskiego Snu. Stoi długo. Przed nim byli rodzice i dziadkowie; była praca, służba wojskowa, podatki, kościół, rodzina i ciężar życia. Nagle widzi, że kolejka nie drgnie, a inni rzekomo wchodzą przed nim: mniejszości,

imigranci, kobiety, uchodźcy, mieszkańcy miast, absolwenci uczelni czy beneficjenci programów publicznych.

Europejskie Appalachy i ślepota polityczna wobec godności

Empirycznie ta opowieść bywa fałszywa, uproszczona lub propagandowo podrasowana. W sensie politycznym działa jednak dlatego, że odpowiada na realne doświadczenie utknięcia. Nie trzeba mieć racji w diagnozie przyczyn, aby autentycznie cierpieć z powodu skutków. To właśnie najczęściej przegrywają liberałowie: prostują mapę, gdy człowiek krwawi. Ta dygresja jest konieczna, by europejski czytelnik nie mógł łatwo stwierdzić: to Ameryka, ich broń, ich opioidowa katastrofa, ich Trump, ich rasowy grzech pierworodny i ich Appalachy. Otóż nie. Europa ma własne Appalachy, choć rzadziej nazywa je po imieniu. Są nimi zdegradowane regiony poprzemysłowe, peryferyjne miasteczka, obszary opuszczone przez młodych, dzielnice po fabrykach i wsie wykluczone z obietnicy mobilności; małe miasta oglądające transformację z pozycji widza, który zapłacił za bilet, ale nie wpuszczono go na salę. Europa ma swoje górnictwo zamykane w imię klimatu, hutnictwo wystawione na presję globalną i rolnictwo duszone między rynkiem, regulacjami a geopolityką. Ma swoją klasę pracującą, której wmawia się, że ma być elastyczna, cyfrowa, ekologiczna i wdzięczna.

Wszystko to można opisać językiem modernizacji. Jednak człowiek „modernizowany" bez uznania jego podmiotowości szybko odkrywa, że transformacja bywa jedynie eleganckim słowem na cudzą stratę. W tym miejscu należy uaktualnić perspektywę o realia europejskie. Parlament Europejski kadencji 2024-2029 liczy 720 posłów podzielonych na osiem grup politycznych: Europejską Partię Ludową, Socjalistów i Demokratów, Patriotów dla Europy, Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, Renew Europe, Zielonych, Lewicę oraz Europę Suwerennych Narodów. Choć oficjalnie posłowie organizują się według przynależności politycznej, a nie narodowej, to właśnie te grupy kształtują agendę, czas wystąpień, fundusze i obsadę komisji. Oznacza to, że pytanie postawione przez Hochschild nie jest jedynie retoryczną ozdobą.

Brzmi ono brutalnie i słusznie: co politycy europejscy, także ci zasiadający w Parlamencie Europejskim, zrobili i co deklarują dla dobra prawicowych, biednych, konserwatywnych Europejczyków, którym nie powiodło się społecznie i gospodarczo? Pytanie jest niewygodne, bo rozsadza moralny komfort wszystkich stron. Prawica często potrafi nazwać ich upokorzenie, ale zbyt często zamienia je w konflikt kulturowy, antyimigracyjny lub antybrukselski. Lewica dysponuje narzędziami redystrybucji, lecz bywa głucha na godność konserwatywnej klasy ludowej,

zwłaszcza gdy ta nie posługuje się językiem progresywnej wrażliwości. Liberałowie oferują kwalifikacje, mobilność i innowacyjność – mówiąc w ten sposób człowiekowi przywiązanemu do miejsca: zostań kimś innym gdzie indziej. Zieloni obiecują ratunek planety, ale zbyt rzadko odpowiadają z należytą empatią na pytanie: kto zapłaci rachunek emocjonalny i zawodowy za odchodzenie od starego przemysłu? Odpowiedź instytucjonalna Unii istnieje i nie wolno jej przemilczeć.

Fundusze społeczne nie zastąpią gospodarki uznania

Europejski Fundusz Społeczny Plus to główny unijny instrument inwestowania w ludzi i realizacji Europejskiego Filaru Praw Socjalnych. Jego budżet na lata 2021-2027, wynoszący 142,7 miliarda euro, ma wspierać politykę zatrudnienia, edukacji, integracji społecznej oraz reform strukturalnych. Komisja Europejska definiuje go jako narzędzie wzmacniania spójności gospodarczej i terytorialnej, a Parlament Europejski podkreśla jego rolę w zapewnieniu wysokiego poziomu zatrudnienia, sprawiedliwej ochrony socjalnej oraz przygotowaniu pracowników do transformacji zielonej i cyfrowej. To są fakty: realne pieniądze, programy, procedury i kryteria alokacji. Jednak Hochschild zmusza nas do zadania bardziej okrutnego pytania: czy Europa dysponuje jedynie funduszami społecznymi, czy posiada także gospodarkę uznania? Czy potrafi powiedzieć człowiekowi z małego miasta, konserwatywnemu robotnikowi, zubożałemu rzemieślnikowi, rolnikowi w konflikcie z Zielonym Ładem czy górnikowi z regionu przejściowego, że jego życie nie jest odpadem po cudzym postępie? Czy potrafi zobaczyć twarz ludzkiego nadkładu, zanim ta twarz zostanie przechwycona przez politycznego handlarza gniewem?

W 2025 roku unijni współprawodawcy, w ramach przeglądu śródokresowego polityki spójności, zmodyfikowali regulację ESF+, wprowadzając nowe priorytety: zdolności obronne, dekarbonizację przemysłu oraz wsparcie regionów graniczących z Rosją, Białorusią i Ukrainą. Z perspektywy Europy Środkowo-Wschodniej jest to zmiana istotna. Jednak w kontekście "skradzionej dumy" sama architektura funduszy nie wystarczy. Można otrzymać kurs, dotację czy bon szkoleniowy i nadal odnosić wrażenie, że język publiczny traktuje człowieka jak surowiec do przekwalifikowania. A człowiek nie jest pendrive'em do przeformatowania.

Nawet jeśli administracja bardzo by tego chciała. Współczesna europejska prawica radykalna dostrzegła ten deficyt szybciej niż centrum. Według analiz Carnegie Europe partie te zyskały w ostatnich latach znaczący grunt, często przekraczając 20 procent poparcia, choć ich sukces wyborczy rzadziej przekłada się na stabilną władzę wykonawczą. Analiza ta wskazuje również, że wiele ugrupowań nie postuluje już prostego wyjścia z Unii, lecz jej wewnętrzną transformację w

luźniejszą organizację narodów, opartą na suwerenności i konserwatywnych wartościach. To przesunięcie jest kluczowe. Radykalna prawica nie mówi już wyłącznie: "wyjdźmy". Coraz częściej mówi: "odzyskajmy". Odzyskajmy naród, granice, rodzinę, energię, przemysł, męskość, religię, suwerenność, normalność i Europę. To „odzyskajmy" jest europejskim kuzynem amerykańskiego „skradziono nam". Tutaj notatka Hochschild działa jak soczewka.

Narracja o skradzionej dumie nie potrzebuje amerykańskiego paszportu. Mówi po francusku w dawnych okręgach przemysłowych, po niemiecku tam, gdzie panuje lęk przed deindustrializacją, po włosku wśród prekariatu i drobnych przedsiębiorców, po polsku w miastach średnich i na wsiach, po niderlandzku w sporze o rolnictwo i po hiszpańsku na peryferiach rozczarowanych globalizacją. Formuła jest powtarzalna: wasza strata nie jest przypadkiem – waszą dumę ukradli obcy, elity, Bruksela, migranci, zieloni, feministki, banki, sędziowie czy eksperci. Wybierzcie nas, a damy wam prawo do gniewu. Nie oznacza to jednak, że każdy wyborca radykalnej prawicy jest ekstremistą. Przeciwnie, jednym z najważniejszych ostrzeżeń Hochschild jest zakaz moralnego lenistwa. David Maynard mógłby powiedzieć: „mogę być prostym góralem, ale nie jestem rasistą". To zdanie powinno wisieć nad każdym panelem eksperckim o populizmie. Biedny biały konserwatysta nie staje się automatycznie faszystą, tak jak wyborca wielkomiejskiej lewicy nie jest z automatu mędrcem demokracji.

Emocjonalny Nowy Ład jako system ochrony godności

Kto myli cierpienie z winą, ten produkuje wstyd. Kto produkuje wstyd, ten pracuje dla populisty, nawet jeśli ma na marynarce przypinkę z napisem „tolerancja". Właśnie dlatego Emocjonalny Nowy Ład musi być czymś więcej niż dodatkiem do polityki społecznej; musi stać się korektą sposobu, w jaki demokracja rozpoznaje godność przegranych transformacji.

Pierwszym filarem jest prawo do opłakiwania strat. Kultura sukcesu nakazuje ludziom natychmiastową adaptację. Straciłeś kopalnię? Naucz się kodować. Straciłeś gospodarstwo? Wejdź w zieloną innowację. Straciłeś warsztat? Zbuduj markę osobistą. Straciłeś miasto? Przeprowadź się. Jest w tej logice coś komicznie okrutnego – to tak, jakby lekarz nad amputowaną nogą mówił pacjentowi: proszę spojrzeć na to jako na szansę optymalizacji obuwia. Tymczasem strata wymaga żałoby. Bez niej nie ma polityki racjonalnej, jest tylko wyparcie, a wyparcie jest poczekalnią gniewu.

Drugim filarem jest redefinicja sukcesu. Amerykański Sen w wersji brutalnej mówi: twoje dzieci muszą mieć więcej niż ty, musisz awansować, dom musi być większy, praca bardziej prestiżowa, konto pełniejsze, a status wyższy. Europejski sen powojenny był subtelniejszy, lecz również opierał się na obietnicy awansu, bezpieczeństwa i lepszego życia dla następnego pokolenia. Dziś ta

obietnica pęka. Młodzi często nie mają mieszkań, starsi boją się utraty stabilności emerytalnej, prowincje lękają się wyludnienia, klasa średnia degradacji, a klasa ludowa tego, że zostanie uznana za balast. Jeśli sukces pozostanie wyłącznie miernikiem wzrostu, przegrani tego wzrostu będą szukać teologii odwetu. Jeśli jednak sukces powiążemy z wystarczalnością, bezpieczeństwem, zakorzenieniem, wspólnotą, użytecznością i uznaniem, demokracja może odzyskać tych, których dziś kusi polityka „dobrego łobuza".

Trzecim filarem jest most empatii. Nie wolno go jednak rozumieć banalnie. Most empatii nie jest piknikiem różnorodności, na którym wszyscy przynoszą hummus i deklaracje dobrych intencji. To ciężka konstrukcja instytucjonalna i symboliczna. Oznacza zdolność dostrzeżenia, że człowiek może mieć błędne poglądy, ale jednocześnie prawdziwe rany. Oznacza, że mniejszości mają prawo do ochrony przed agresją, a zubożała większość ma prawo do języka godności. To przekonanie, że nie wolno pozwolić, by ból jednych był używany jako pałka przeciwko drugim.

Właśnie dlatego Hochschild stawia Ruth Mullins, Johna Rosenberga i dr. Budgy'ego obok Tommy'ego Ratliffa, Jamesa Browninga, Davida Maynarda czy Alexa Hughesa. To nie są dekoracje reportażowe, lecz twarze różnych gospodarek dumy. Mniejszości na celowniku pokazują najciemniejszą stronę mechanizmu „Shame to Blame". Ruth Mullins nie odpowiada za upadek kopalń. John Rosenberg nie odpowiada za globalizację. Dr Budgy nie odpowiada za to, że biały pracownik utracił status. A jednak to tacy ludzie stają się ekranem projekcyjnym cudzej degradacji.

W książce Hochschild pojawia się precyzyjna formuła „cudzego, wyrzuconego z siebie wstydu". Nienawiść do mniejszości nie jest tylko poglądem; jest cudzym odpadem emocjonalnym zrzuconym na ciało niewinnego człowieka. To toksyczny nadkład psychiczny. Kiedy ekstremista mówi: „oni zabrali wam sen", wykonuje operację podwójnie przestępczą. Najpierw okrada biednego z prawdziwej diagnozy jego położenia, a potem obciąża niewinnego odpowiedzialnością za cudzą klęskę.

W tej perspektywie Parlament Europejski staje przed zadaniem, którego nie rozwiąże sama rezolucja o wartościach. Oczywiście wartości są konieczne. Ochrona mniejszości, praworządność, niezależność sądów, wolność mediów i zakaz dyskryminacji nie są dodatkiem do demokracji, lecz jej szkieletem. Ale szkielet bez krwi społecznej staje się muzealnym eksponatem.

Jeśli demokracja liberalna będzie mówić biednym konserwatystom wyłącznie: macie nie nienawidzić, nie narzekać, nie głosować na złych ludzi, nie przeszkadzać transformacji i nie obrażać się na postęp – przegra, choćby dysponowała najpiękniejszymi raportami. Człowiek nie żyje od raportu do raportu. Człowiek żyje od uznania do uznania.

Emocjonalny Nowy Ład jako odpowiedź na kryzys godności

Współczesne strategie progresywne w Europie zaczynają dostrzegać ten problem, choć wciąż operują językiem zbyt technokratycznym. Raport FEPS z marca 2026 roku, dotyczący przeciwdziałania skrajnej prawicy w Parlamencie Europejskim, zaleca między innymi odrzucenie narracji radykalnej prawicy o migracji i przesunięcie akcentu na pozytywne, konkretne propozycje społeczne i gospodarcze, które rezonowałyby z wyborcami. Sugeruje także współpracę demokratycznych sił proeuropejskich i budowanie koalicji tematycznych. To kierunek rozsądny, lecz wciąż niewystarczający, jeśli nie zostanie przełożony na język dumy. Wyborca upokorzony nie pyta tylko o to, czy program jest „policy-specific". Pyta, czy ktoś widzi, że jego ojciec nie był odpadem przemysłu, jego matka nie była statystyczną beneficjentką usług publicznych, jego region nie jest błędem na mapie, jego konserwatyzm nie jest automatyczną patologią, a jego bieda nie stanowi dowodu moralnej niższości. Stąd najważniejsza teza: Europa potrzebuje własnego Emocjonalnego Nowego Ładu. Bez niego polityka społeczna pozostanie jedynie techniką łagodzenia skutków, a radykalna prawica będzie nadal monopolizować język godności. Fundusze unijne mogą finansować szkolenia, drogi, aktywizację czy transformację energetyczną i cyfrową, ale nie przywrócą człowiekowi opowieści o sensie jego życia. A polityka pozbawiona opowieści zawsze przegrywa z mitem – nawet wtedy, gdy mit kłamie.

Analiza struktury problemu musi teraz przejść w głąb antropologii dumy. W źródłach wyraźnie zarysowują się różne typy odpowiedzi na utratę statusu: duma z pracy, duma ocalałego, duma wyjętego spod prawa oraz duma odzyskana poprzez pomaganie. To nie są jedynie psychologiczne portrety kilku mieszkańców Appalachów; to modele przetrwania w świecie, w którym gospodarka materialna przestała współgrać z gospodarką moralną. Człowiek wciąż wierzy, że powinien być samowystarczalny, twardy i odpowiedzialny, ale rynek odbiera mu narzędzia, za pomocą których mógłby tę godność potwierdzić. Wtedy duma szuka nowego naczynia. Jeśli nie znajdzie go w sferze obywatelskiej, odnajdzie je w strukturach więziennych, sekciarskich, rasowych lub fanatycznych. Natura społeczna nie znosi próżni, a próżnia dumy szczególnie lubi demagogów.

Duma z pracy, którą Hochschild opisuje przez figurę bootstrap pride, jest najbardziej szlachetną i zarazem najokrutniejszą formą tradycyjnej dumy. Jej rdzeniem jest przekonanie, że człowiek powinien sam siebie podnieść i przed światem usprawiedliwić. W tym modelu sukces nie jest prezentem, lecz dowodem charakteru; porażka zaś nie jest wypadkiem, lecz oskarżeniem. Ten etos przez pokolenia budował dyscyplinę, oszczędność i odpowiedzialność za rodzinę oraz lokalną wspólnotę. Był szkołą twardych ludzi.

Problem pojawia się w momencie, gdy etos samodzielności zderza się z gospodarką, która nie nagradza już ludzi w sposób przewidywalny. Wtedy cnota zmienia się w narzędzie samobiczowania. Uosobieniem tej postawy jest Alex Hughes – i nie jest on karykaturą konserwatywnego indywidualisty. Przeciwnie, jego postawa budzi szacunek: założył mały biznes, prowadził salon tatuażu i usługi komputerowe, próbował działać na własną rękę.

Kiedy lokalna gospodarka się załamała, stracił wszystko: klientów, firmę, dom, samochód, małżeństwo i bezpieczeństwo finansowe. Mógłby uznać, że winny jest upadek przemysłu, polityka czy struktura. On jednak twierdzi: ostateczna odpowiedzialność spoczywa na mnie. W tej formule kryje się zarówno etyczna wielkość, jak i społeczna pułapka. Wielkość polega na tym, że Alex odmawia roli ofiary. Pułapka tkwi w przejęciu ciężaru procesów, nad którymi jednostka nie ma kontroli. Ekonomista nazwałby to prywatną internalizacją ryzyka strukturalnego; antropolog zauważyłby, że honor wymaga od niego uznania porażki za osobistą. Prawnik natomiast dostrzegłby, że nowoczesne społeczeństwo konstruuje odpowiedzialność tak, jakby podmiot gospodarczy był suwerennym graczem, choć w praktyce działa w układzie ogromnych asymetrii: kapitału, informacji i infrastruktury. Człowiek lokalny jest przywiązany do terytorium; kapitał jest mobilny. Człowiek ma twarz, nazwisko i wstyd; kapitał ma strategię wyjścia. Trudno o bardziej nierówny pojedynek. Duma z pracy ma więc postać tragiczną. Pozwala zachować kręgosłup, ale może połamać człowieka od środka.

Alex Hughes nie ucieka w nienawiść rasową ani przestępczość. Nie szuka kozła ofiarnego i nie twierdzi, że mniejszości odebrały mu życie. Jest tym samym ważnym kontrargumentem dla tezy, że bieda konserwatywna musi rodzić faszyzm. Nie musi. Może rodzić surową samoodpowiedzialność i próbę rekonstrukcji życia. Jednak cena psychiczna pozostaje wysoka. Jeśli człowiek przez lata uczył się, że praca jest miarą wartości, to bezrobocie nie jest dla niego przerwą w zatrudnieniu, lecz utratą moralnego dokumentu tożsamości.

Tu objawia się słabość wielu współczesnych polityk aktywizacyjnych. Mówią one do ludzi tak, jakby problemem był deficyt kwalifikacji, a nie zraniona godność. Proponują szkolenia i cyfryzację, co bywa potrzebne, ale gdy instytucja publiczna mówi do byłego górnika czy drobnego przedsiębiorcy wyłącznie językiem „kompetencji przyszłości", może nieświadomie przekazać: twoja biografia jest odpadem, a duma wymaga aktualizacji. Taki język jest administracyjnie poprawny, lecz antropologicznie głuchy. A człowiek obrażony przez słownik polityki publicznej prędzej czy później poszuka tłumacza swojego gniewu. Drugim modelem jest duma ocalałego, wiążąca się w materiale z postacią Davida Maynarda.

Niewidzialna duma ocalałych i pułapka klasowego szyderstwa

To duma człowieka, który nie odniósł klasycznego sukcesu, ale po prostu przeżył. Nie został zwycięzcą rynku, nie awansował do klasy średniej i nie zamienił biedy w legendę przedsiębiorczości. Ocalił jednak życie, małżeństwo, trzeźwość i elementarną równowagę. Dla kultury sukcesu to zbyt mało. Jednak dla kogoś, kto dorastał w przestrzeni przemocy, narkotyków, chorób, przyczep kempingowych i społecznej pogardy, może to być osiągnięcie większe niż dyplom elitarnej uczelni. Problem w tym, że rynek nie wycenia samego przetrwania. Nie ma premii za to, że człowiek nie zginął w dzieciństwie społecznym.

Duma ocalałego jest krucha, bo nie daje łatwego statusu. Człowiek może powiedzieć: przetrwałem, nie popadłem w nałóg, zbudowałem bezpieczne małżeństwo, nie skrzywdziłem innych i zachowałem resztki sensu. Społeczeństwo często odpowiada na to milczeniem. Nie dlatego, że jest to nieważne, lecz dlatego, że nasze instytucje uznania są skalibrowane pod widzialny sukces: pieniądze, tytuły, stanowiska, nieruchomości, medialność czy estetykę życia. Kultura nie ma ceremonii dla tych, którzy "tylko" nie utonęli. Nie ma odznaczeń za niewidzialne bitwy z chaosem ani orderu za to, że człowiek nie powtórzył rodzinnego piekła.

W tym kontekście David Maynard staje się figurą szczególnie ważną dla Europy. W europejskich debatach o prawicy ludowej często przyjmuje się ukryte założenie, że biały, biedny konserwatysta korzysta z przywileju większościowego, a zatem jego skarga jest moralnie podejrzana. Owszem, należy mówić o historycznych przywilejach oraz strukturach rasowych, etnicznych, płciowych i kolonialnych. Nie wolno jednak wyciągać z tego absurdalnego wniosku, że biały biedny człowiek nie może być naprawdę zgnieciony. To błąd poznawczy i polityczny. Dla kogoś, kto żyje w nędzy, chorobie, przemocy i braku perspektyw, zdanie „masz przywilej” brzmi nie jak analiza strukturalna, lecz jak szyderstwo klasy wykształconej. A szyderstwo jest nawozem radykalizacji.

Hochschild nie proponuje zastąpienia wrażliwości na mniejszości wrażliwością na białą biedę. Proponuje coś trudniejszego: rozszerzenie pola widzenia. Trzeba jednocześnie dostrzegać Ruth Mullins, Johna Rosenberga, dr. Budgy'ego i Davida Maynarda. Należy rozumieć, że mniejszości mogą być realnie zagrożone przez cudzy wyrzucony wstyd, a zarazem, że część większości może być realnie porzucona, upokorzona i wykluczona z języka szacunku. Polityka wybierająca tylko jedną z tych prawd staje się półprawdą, a półprawda w demokracji jest często matką całego kłamstwa. Trzeci model – duma wyjętego spod prawa – jest najciemniejszy.

Od przemocy i wstydu do dumy przez pomaganie

W książce Hochschild uosabia go Wyatt Blair, recydywista i członek Ku Klux Klanu. To postać, przy której łatwo odetchnąć moralnie: oto zło, rasizm, przemoc, więzienie, swastyki, KKK, pogarda i agresja. Właśnie dlatego jednak trzeba zachować chłód analityczny. Duma wyjętego spod prawa nie bierze się znikąd; jest patologiczną odpowiedzią na ten sam kryzys uznania. Jeśli nie mogę być szanowany jako pracownik, ojciec, obywatel, fachowiec czy żywiciel rodziny, mogę zdobyć strach. Jeśli brakuje mi autorytetu, mogę wzbudzać grozę. Jeśli nie potrafię być "kimś" w legalnej hierarchii, mogę stać się "kimś" w hierarchii przemocy.

Ten mechanizm jest kluczowy dla zrozumienia radykalizacji politycznej. Ekstremizm oferuje biednemu i upokorzonym mężczyznom coś, czego nie zapewni im urząd pracy: natychmiastową tożsamość. Nie trzeba się długo uczyć, przepracowywać traumy ani leczyć wstydu. Wystarczy przyjąć znak, wroga, mit i przemoc. Tatuaż staje się dyplomem. Nienawiść staje się kompetencją. Lojalność rasowa zastępuje etykę pracy. Ulica, gang, sekta albo bojówka dają to, czego nie dała gospodarka: poczucie pozycji. Oczywiście jest to pozycja zatruta, ale dla człowieka pozbawionego uznania trucizna bywa pierwszym płynem, który przypomina lekarstwo. Duma wyjętego spod prawa pokazuje, jak łatwo klęska społeczna może zostać przejęta przez politykę przemocy.

W języku prawnym jest to moment, w którym porządek konstytucyjny traci monopol na uznanie. Człowiek, który nie widzi dla siebie miejsca w legalnych instytucjach, ucieka w struktury nieformalne: gangi, milicje, sekty polityczne czy ruchy supremacyjne. Państwo pozostaje formalnie silne, lecz symbolicznie nieobecne. Prawo karne może karać skutki, ale samo z siebie nie odbuduje zerwanej więzi uznania. Więzienie może odizolować Wyatta Blaira, jednak nie odpowie na pytanie, dlaczego pewna wersja męskiej godności stała się możliwa dopiero poprzez przemoc.

W tym miejscu należy zachować ostrożność: wyjaśnianie nie jest usprawiedliwianiem. Analiza źródeł przemocy nie znosi odpowiedzialności sprawcy. Nienawiść do mniejszości, rasizm, antysemityzm, islamofobia, pogarda wobec kobiet czy gloryfikacja agresji nie stają się moralnie mniej naganne tylko dlatego, że wyrastają z upokorzenia. Człowiek zraniony nadal może ranić niewinnych. To najtrudniejsza lekcja Hochschild: trzeba umieć współczuć źródłom bólu i jednocześnie bezwzględnie zatrzymać jego przemocową projekcję. Demokracja bez empatii staje się lodowata, a demokracja bez granic – bezbronna. Potrzebne są obie te wartości naraz, choć denerwuje to ludzi lubiących proste hasła. Niestety, rzeczywistość nie jest memem. Rzeczywistość ma przypisy w ludzkich biografiach, nawet jeśli ich nie drukujemy.

Czwarty model jest najważniejszy dla Emocjonalnego Nowego Ładu: odnowiona duma przez pomaganie. W książce Hochschild pojawia się tu metafora mrówki-tragarza. Tommy Ratliff, po

utracie pracy, rozpadzie małżeństwa i upadku w alkoholizm, obserwuje mrówki. Widzi martwą mrówkę niesioną przez inną. Rozpoznaje w niej samego siebie i jednocześnie szansę na przemianę: nie chcę być martwą, niesioną mrówką; chcę być mrówką, która niesie. To jedna z najmocniejszych metafor całego materiału – nie ze względu na literacką efektowność, lecz dlatego, że ukazuje przejście od wstydu do użyteczności bez konieczności szukania wroga.

Odnowiona duma przez pomaganie zmienia logikę przetrwania. Człowiek nie mówi już: jestem wartościowy, bo wygrałem, ani: jestem wartościowy, bo oni są winni. Mówi: jestem wartościowy, bo mogę nieść kogoś, kto leży tam, gdzie ja kiedyś leżałem. To radykalna korekta pojęcia sukcesu. Sukces nie polega na wspięciu się ponad innych, lecz na powrocie po innych. Tommy Ratliff i James Browning tworzą dolny pokład mostu empatii. Nie pomagają z pozycji filantropijnego dystansu; pomagają, bo znają dno. Nie mówią: jestem lepszy, więc cię podniosę, lecz: byłem tam, gdzie ty, i wiem, że można jeszcze oddychać.

Ma to ogromne znaczenie dla polityki publicznej. Nowoczesne państwo często profesjonalizuje pomoc do tego stopnia, że odbiera jej wymiar wspólnotowy. Tworzy programy, procedury, wskaźniki i standardy usług. Są one niezbędne, by pomoc nie była dziełem przypadku, ale jeśli zostanie ona całkowicie oddana zewnętrznym ekspertom, lokalna wspólnota może poczuć się ponownie zdegradowana: oto przyjechali ludzie z „językiem naprawy", aby naprawić ludzi uznanych za zepsutych. Model mrówki-tragarza proponuje coś innego.

Najsilniejsza pomoc powstaje wtedy, gdy człowiek po przejściu kryzysu otrzymuje narzędzia, by stać się zasobem dla innych – nie beneficjentem na zawsze, lecz nosicielem użyteczności. Tutaj pojawia się most między Hochschild a europejską debatą o polityce spójności, transformacji energetycznej i reskillingu. Regiony dotknięte zmianami przemysłowymi nie potrzebują jedynie inwestycji; potrzebują uznania lokalnej wiedzy i włączenia mieszkańców w rolę współautorów przemiany. Górnik nie powinien być wyłącznie „pracownikiem do przekwalifikowania", rolnik „podmiotem dostosowania do norm środowiskowych", a pracownik fabryki jedynie „zasobem ludzkim wymagającym podniesienia kompetencji".

Synteza sprawczości i struktur jako fundament Emocjonalnego Nowego Ładu

Takie określenia są administracyjnie wygodne, lecz antropologicznie toksyczne. Ludzie nie buntują się tylko przeciwko zmianie; buntują się przeciwko temu, że w opowieści o zmianie nie mają twarzy.

Odnowiona duma przez pomaganie stanowi ważną korektę również dla prawicy. Prawica chętnie mówi o odpowiedzialności, wspólnocie, rodzinie, pracy, lokalności, samopomocy i solidarności organicznej, jednak często zbyt łatwo przechodzi od tych wartości do polityki wykluczenia. Tymczasem Tommy i James pokazują inną wersję konserwatywnego doświadczenia: odpowiedzialność bez nienawiści, twardość bez pogardy, samopomoc bez rasizmu, lokalność bez obsesji wroga. To prawica społeczna w swoim najlepszym wydaniu, zanim zostanie porwana przez handlarzy urazą. Jej hasło mogłoby brzmieć: "Odbij się od dna, powstań i wyciągnij rękę do innych". W tym zdaniu nie ma ani grama sentymentalizmu – jest praktyczna metafizyka człowieka po przejściach.

Jednocześnie odnowiona duma przez pomaganie jest korektą dla lewicy. Lewica słusznie mówi o strukturach, klasie, nierównościach, wyzysku i odpowiedzialności systemowej. Jeśli jednak posługuje się wyłącznie językiem systemu, może nie docenić moralnej potrzeby człowieka, by być sprawcą, a nie tylko ofiarą struktury. Człowiek nie chce być jedynie dowodem na istnienie nierówności; chce być kimś, kto coś niesie. Lewica, która nie rozumie dumy z użyteczności, zostawia ją prawicy. Prawica natomiast, nie rozumiejąc struktur, zostawia ludziom tylko winę albo gniew. Emocjonalny Nowy Ład musi skleić to, co nowoczesna polityka rozdarła: uznanie strukturalnych przyczyn krzywdy z uznaniem osobistej potrzeby sprawczości.

Hochschild nie jest autorką "miękką". Jej myśl bywa przedstawiana jako empatyczna socjologia podziałów, ale w istocie jest bezlitosna wobec intelektualnego lenistwa. Zmusza lewicę, by przestała gardzić konserwatywną biedą. Zmusza prawicę, by przestała sprzedawać biednym narkotyk wroga. Zmusza liberałów, by przestali mylić mobilność społeczną z moralnym rozwiązaniem problemu wykorzenienia. Zmusza technokratów, by przestali traktować godność jak zmienną niemierzalną, a więc nieistotną. Zmusza naukowców, by pamiętali, że za każdym pojęciem stoi twarz. Jak mówi parafraza Wendella Berry'ego z notatki, opowiadanie historii przypomina sięgnięcie do spichlerza pełnego ziarna i wyciągnięcie zaledwie garści – zawsze jest więcej do opowiedzenia, niż można wyrazić.

Warto teraz przenieść te cztery modele dumy na grunt europejski. Duma z pracy żyje w regionach przemysłowych: w etosie rzemiosła, górnictwa, rolnictwa, transportu, małej przedsiębiorczości, służb mundurowych oraz pracy fizycznej i technicznej. To ludzie, którzy nie proszą o aplauz, lecz o to, by nie nazywano ich przeszkodą dla przyszłości. Kiedy słyszą, że ich branże są emisyjne, przestarzałe, nieefektywne czy zbyt mało innowacyjne, mogą odbierać to nie jako neutralną diagnozę sektorową, lecz jako symboliczne wymazanie własnej biografii. Jeśli ktoś przez trzydzieści lat wykonywał pracę, która utrzymywała kraj, a potem słyszy, że reprezentuje problem, nie dziwmy się, że szuka partii, która powie mu: byłeś fundamentem, nie błędem.

Duma ocalałego żyje wśród tych, którzy przetrwali transformacje gospodarcze, przemoc domową, alkoholizm, zadłużenie, emigrację zarobkową, upadek PGR-ów i zakładów, śmieciowe zatrudnienie, niepełnosprawność, chorobę czy samotność w małych miejscowościach oraz wstyd korzystania z pomocy społecznej. Oni często nie pasują do eleganckich narracji politycznych; nie są ani zwycięzcami rynku, ani bohaterami emancypacji opisanej językiem wielkich ruchów społecznych. Są ludźmi, którzy nie utonęli. Społeczeństwo powinno wreszcie zrozumieć, że nieutonięcie także może być osiągnięciem cywilizacyjnym.

Duma wyjętego spod prawa żyje w subkulturach przemocy, gangach stadionowych, ruchach supremacyjnych, cyfrowych wspólnotach nienawiści, męskich forach upokorzenia i mikroideologiach odwetu. Tam, gdzie młody mężczyzna nie ma pracy, domu, autorytetu, szacunku ani roli, może wejść w przemoc jako tanią walutę znaczenia. Nie oznacza to, że przemoc jest winą biedy, lecz że bieda godnościowa jest jednym z rynków, na których przemoc rekrutuje. Współczesny ekstremizm nie potrzebuje już wielkiej organizacji – wystarczy algorytm, samotność, uraza, mem, mit zdrady i obietnica, że ktoś wreszcie powie: twoja wściekłość jest święta.

Odnowiona duma przez pomaganie żyje natomiast w lokalnych stowarzyszeniach, grupach trzeźwościowych, Ochotniczych Strażach Pożarnych, kołach gospodyń, parafiach, fundacjach, małych klubach sportowych, organizacjach kombatanckich, inicjatywach sąsiedzkich, spółdzielniach socjalnych, wspólnotach rodziców i nieformalnych sieciach wsparcia.

Emocjonalny Nowy Ład jako polityka przywracania twarzy

To tam człowiek może znów poczuć się potrzebny. Właśnie w tym miejscu europejska polityka dysponuje ogromnym, niewykorzystanym potencjałem. Jeśli środki publiczne wzmacniają jedynie wielkie instytucje, profesjonalne organizacje i język ekspercki, pomijając lokalnych tragarzy sensu, to same tworzą pustynię uznania. Gdyby natomiast potrafiły zasilić ludzi, którzy niosą pomoc z poziomu wspólnego doświadczenia, budowałyby dolny pokład mostu empatii.

Dygresja o prawie jest tu niezbędna. Współczesne państwo prawa zbyt często opisuje obywatela jedynie jako posiadacza uprawnień, beneficjenta świadczeń, adresata regulacji lub uczestnika procedur. To ważne, lecz niewystarczające. Obywatel jest bowiem także nosicielem honoru społecznego. Prawo pracy, zabezpieczenie społeczne, polityka regionalna, ochrona zdrowia psychicznego, regulacje antydyskryminacyjne i prawo samorządowe powinny być odczytywane nie tylko jako instrumenty alokacji zasobów, ale jako system dystrybucji uznania. Kiedy prawo mówi

człowiekowi: masz prawo do ochrony, przekazuje coś więcej niż zapowiedź świadczenia. Mówi: twoje życie jest częścią wspólnego porządku. Gdy prawo staje się odległe, upokarzające, nieczytelne lub w praktyce urzędowej pogardliwe, zamienia się w fabryką resentymentu. Biurokracja potrafi produkować mechanizm "Shame to Blame", choć robi to w garniturze i bez podnoszenia głosu.

Z tej perspektywy pytanie o Parlament Europejski wraca z większą ostrością: co europejscy politycy zrobili dla tych biednych, konserwatywnych, prawicowych Europejczyków, którym się nie powiodło? Jedni oferowali ochronę socjalną, fundusze spójności i programy zatrudnienia. Drudzy – obronę narodu, rodziny, granic i tradycyjnych sektorów. Jeszcze inni stawiali na rynek, konkurencyjność i innowacje.

Problem polega na tym, że rzadko kto potrafił połączyć te języki w jedną, godną opowieść: jesteś częścią wspólnoty, twoja praca miała sens, twoja strata zostanie uznana, twoja przyszłość nie będzie wymagała pogardy wobec przeszłości, a twoja krzywda nie zostanie użyta przeciwko mniejszościom. To jest brakujące centrum polityki europejskiej.

W tym miejscu należy zasygnalizować wątpliwość naukową. Koncepcje Hochschild są przekonujące, ale nie wyjaśniają wszystkiego. Nie każdy wyborca radykalnej prawicy jest ubogi, nie każdy człowiek zdegradowany ekonomicznie skręca w prawo i nie każda polityka tożsamościowa jest ślepa na klasę. Nie każda narracja konserwatywna wynika z resentymentu, a nie każdy gniew jest fałszywy.

Istnieją także czynniki medialne, religijne, geopolityczne czy demograficzne. Algorytmy platform społecznościowych przyspieszają obieg upokorzenia, ale go nie kreują. Migracja może być instrumentalizowana przez populistów, lecz bywa realnym wyzwaniem dla lokalnych usług publicznych. Transformacja klimatyczna jest konieczna, choć bywa źle zaprojektowana społecznie. Krytyka elit może brzmieć demagogicznie, ale elity rzeczywiście potrafią być aroganckie. Rzeczywistość nie mieści się w jednym sloganie; slogan to haczyk, a nie ryba.

Mimo tych zastrzeżeń aparat Hochschild ma wielką siłę, gdyż obnaża emocjonalny metabolizm polityki. W tradycyjnym języku nauk społecznych powiedzielibyśmy o sprzężeniu deindustrializacji, degradacji statusowej, utraty męskiej roli żywiciela i kryzysu reprezentacji wraz z kulturową stygmatyzacją prowincji oraz populistyczną mobilizacją afektów.

To zdanie jest poprawne, ale nie dotyka sedna problemu tak, jak wezwanie: "Zobaczcie twarz ludzkiego nadkładu". W nauce również trzeba czasem sformułować myśl tak, by pojęcie miało temperaturę. Bez niej pojęcia nie przenikają do polityki, a bez polityki nie trafiają do instytucji. Wtedy zostaje tylko felieton i westchnienie.

Lekcja jest następująca: po utracie pracy, statusu i sensu człowiek nie pozostaje pusty. Jest pełen wstydu, gniewu, lęku, wspomnień i głodu użyteczności. Z tej mieszaniny może wyrosnąć samobiczująca duma z pracy, krucha duma ocalałego, przemocowa duma wyjętego spod prawa lub odnowiona duma przez pomaganie. Polityka demokratyczna powinna umieć rozpoznać te drogi i wzmacniać tę ostatnią. Jeśli tego nie zrobi, radykałowie zrobią to za nią. Oni nie są leniwi; wiedzą, że człowiek poniżony nie potrzebuje najpierw programu, lecz zdania, które przywróci mu twarz. Problem w tym, że dają mu twarz zwróconą przeciwko komuś.

Emocjonalny Nowy Ład musi być polityką twarzy, a nie tylko polityką transferów. Musi uznać twarz robotnika, rolnika, drobnego przedsiębiorcy, bezrobotnego i uzależnionego; wdowy po przemyśle, młodego mężczyzny bez roli, kobiety niosącej rodzinę przez instytucjonalny chaos, migranta oskarżanego o cudzą stratę, Żyda pamiętającego faszyzm, muzułmanina podejrzewanego o obcość czy czarnej sąsiadki zamykającej drzwi, gdy miastem przechodzi marsz nienawiści. Tylko wtedy most empatii nie będzie dekoracją, lecz infrastrukturą. A infrastruktura jest nudna, dopóki działa. Kiedy pęka, wszyscy nagle odkrywają, że była cywilizacją.

Arlie Russell Hochschild "Stolen Pride"

> W świecie, który myli heroizm przetrwania z dobrym modelem gospodarczym, musimy zadać sobie pytanie: czy potrafimy dostrzec człowieka zanim stanie się on jedynie NIP-em do optymalizacji lub wyborcą napędzanym przez urazę? Jeśli nie nauczymy się budować polityki twarzy zamiast polityki transferów, będziemy jedynie dekorować szkielet demokracji, podczas gdy jej krew wycieka przez rany tych, których uznaliśmy za odpad przemysłu. Ostatecznie bowiem człowiek poniżony nie potrzebuje programu wyborczego, lecz zdania, które przywróci mu godność – zanim ktoś inny zaproponuje mu twarz zwróconą przeciwko bliźniemu.

Inspiracje

[1] "Stolen Pride Arlie Russell Hochschild" Arlie Russell Hochschild

Arlie Russell Hochschild (ur. 15 stycznia 1940) jest amerykańską socjolog i emerytowaną profesor Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley. Jako pionierka socjologii emocji, jest powszechnie uznawana za twórczynię koncepcji „pracy emocjonalnej" opisującej zarządzanie emocjami w życiu zawodowym i osobistym. Jej badania etnograficzne często analizują powiązania między życiem społecznym, przekonaniami kulturowymi i strukturami ekonomicznymi, ze szczególnym uwzględnieniem dynamiki rodziny, płci, a ostatnio także politycznego krajobrazu amerykańskiej prawicy. W trakcie swojej znakomitej kariery była autorką wielu wpływowych książek, które łączą problemy prywatne z problemami publicznymi. Jej prace przyniosły jej liczne stypendia, m.in. od fundacji Guggenheima i Fulbrighta, i pozostaje ważnym głosem we współczesnych naukach społecznych, znanym z głębokiego, empatycznego zaangażowania w różnorodne społeczności w Stanach Zjednoczonych.

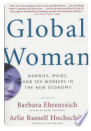
Arlie Russell Hochschild *(born January 15, 1940) is an American sociologist and Professor Emerita at the University of California, Berkeley. A pioneering figure in the sociology of emotion, she is widely recognized for introducing the concept of "emotional labor" to describe the management of feelings in professional and personal life. Her ethnographic research frequently examines the intersection of social life, cultural beliefs, and economic structures, with a particular focus on family dynamics, gender, and, more recently, the political landscape of the American right. Throughout her distinguished career, she has authored numerous influential books that bridge private troubles and public issues. Her work has earned her multiple fellowships, including from the Guggenheim and Fulbright foundations, and she remains a prominent voice in contemporary social science, known for her deep, empathetic engagement with diverse communities across the United States.*

University of California, Berkeley

Literatura uzupełniająca

Książki

Książki autora i dzieła przywołane w tekście:



[1] "Global Woman: Nannies, Maids, and Sex Workers in the New Economy"

Arlie Russell Hochschild

Macmillan + ORM | ISBN: 9781429963053



[2] "The Managed Heart"

Arlie Russell Hochschild

2012 | Univ of California Press | ISBN: 9780520272941



[3] "Strangers in Their Own Land: Anger and Mourning on the American Right"

Arlie Russell Hochschild

New Press, The | ISBN: 9781620972267



[4] "The Outsourced Self"

Arlie Russell Hochschild

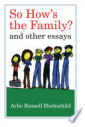
2012 | Macmillan + ORM | ISBN: 9781429963091



[5] "The Second Shift"

Arlie Russell Hochschild

2003 | Penguin Paperbacks | ISBN: 9780142002926

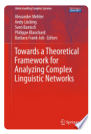


[6] "So How's the Family?"

Arlie Russell Hochschild

2013 | Univ of California Press | ISBN: 9780520272279

Książki autorów przywoływanych i literatura pokrewna:



[7] "Towards a Theoretical Framework for Analyzing Complex Linguistic Networks"

Alexander Mehler, Andy Lücking, Sven Banisch, Philippe Blanchard, Barbara Job

2015 | Springer | ISBN: 9783662472385

Artykuły naukowe

Prace autorów przywoływanych w tekście:

[1] "Executive Order 13769: Protecting the Nation From Foreign Terrorist Entry Into the United States"

Donald Trump

2017 | United States. Office of the Federal Register

Źródło

[2] "Proclamation on Suspension of Entry as Immigrants and Nonimmigrants of Persons Who Pose a Risk of Transmitting 2019 Novel Coronavirus"

Donald Trump

2020

Źródło

[3] "Executive Order 13823: Protecting America Through Lawful Detention of Terrorists"

Donald Trump

2018 | United States. Office of the Federal Register

Źródło

[4] "Feminism and the Matter of Bodies: From de Beauvoir to Butler"

Alex Hughes, Anne Witz

1997 | Body & Society | DOI: 10.1177/1357034x97003001004

Źródło

[5] "Relating to Queer Theory: Rereading Sexual Self-Definition with Irigaray, Kristeva, Wittig and Cixous"

Alex Hughes, Sarah Cooper

2002 | The Modern Language Review | DOI: 10.2307/3738684

Źródło

[6] "French Erotic Fiction: Women's Desiring Writing, 1880-1990"

Victoria Best, Alex Hughes, Kate Ince

1997 | The Modern Language Review | DOI: 10.2307/3734263

Źródło

[7] "Politics and Narratives of Birth: Gynocolonization from Rousseau to Zola"

Alex Hughes, Carol A. Mossman

1996 | The Modern Language Review | DOI: 10.2307/3733559

Źródło

[8] "A letter from Wendell Berry"

Wendell Berry

2005 | Ecotone | DOI: 10.1353/ect.2005.0019

Źródło

Artykuły naukowe autora:

[9] "The Managed Heart: Commercialization of Human Feeling"

John E. Tropman, Arlie Russell Hochschild

1984 | Journal of Policy Analysis and Management | DOI: 10.2307/3324333

Źródło

[10] "Emotion Work, Feeling Rules, and Social Structure"

Arlie Russell Hochschild

1979 | American Journal of Sociology | DOI: 10.1086/227049

Źródło

[11] "The Second Shift: Working Families and the Revolution at Home"

Arlie Russell Hochschild, Anne Machung

2012 | Medical Entomology and Zoology

Źródło

[12] "The Managed Heart"

Arlie Russell Hochschild

2012 | DOI: 10.1525/9780520951853

Źródło

[13] "Global Woman: Nannies, Maids, and Sex Workers in the New Economy"

Barbara Ehrenreich, Arlie Russell Hochschild

2003

Źródło

[14] "Strangers in their own land : anger and mourning on the American right"

Arlie Russell Hochschild

2016

Źródło

[15] "The Second Shift"

Arlie Russell Hochschild, Anne Machung

1989 | Medical Entomology and Zoology

Źródło

[16] "The Second Shift: Working Parents and the Revolution at Home"

Julie Brines, Arlie Russell Hochschild, Anne Machung

1990 | Journal of Marriage and the Family | DOI: 10.2307/352858

Źródło

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: c4ae9ca8-f5a4-4fea-8e5e-0f9da541c5de